



MARIA BROEL-PLATER

Warszawa, 4 września 1945 r. Sędzia śledczy Mikołaj Halfter przesłuchał niżej wymienioną w charakterze świadka. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań i obowiązku mówienia prawdy oraz o znaczeniu przysięgi, sędzia odebrał przysięgę, po czym świadek zeznała, co następuje:

Imię i nazwisko	Maria Broel-Plater
Wiek	ur. 18 grudnia 1913 r. w Warszawie
Imiona rodziców	Antoni i Helena
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Grochowska 171 m. 9
Zajęcie	obecnie bez pracy, przed wojną laborantka w szpitalu
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarana
Stosunek do stron	obca

W roku 1941 mieszkałam wraz z matką i bratem (ur. w 1911 r.) w Terespolu nad Bugiem. Brat pracował dorywczo w warsztatach kolejowych, w piekarni itd., matka pobierała emeryturę, ja zaś zajmowałam się dorywczo handlem. 13 czerwca 1941 roku (było to Boże Ciało) o godzinie 8.30 zgłosili się do naszego mieszkania: gestapowiec ubrany po cywilnemu, znany dobrze z widzenia wszystkim mieszkańcom Terespolu (nazwiska jego nie znam) i z nim tłumacz Józef Poznański, volksdeutsch (były sierżant Wojska Polskiego). Poznański zapytał, czy jestem Maria Broel-Plater, gdy potwierdziłam, kazał się ubrać, oświadczając, że jestem aresztowana. W czasie, gdy się ubierałam, gestapowiec i Poznański robili w naszym mieszkaniu rewizję. Rewizję robili dość pobieżną, dokładniej przeglądali tylko moje osobiste dokumenty.

Zabrali oni tylko kilka listów prywatnych do mnie z zagranicy, z okresu wojennego. Listy te otrzymałam legalnie (pocztą) i pochodziły one z Węgier i Szwajcarii, pisane były po polsku. Nic w nich nie było takiego, co mogłoby być uważane przez Niemców za materiał mnie obciążający. W czasie rewizji nic nam nie skradli. Gdy ukończyli rewizję, polecili mi udać się z nimi i jednocześnie także polecenie wydali memu bratu, Marianowi Mieczysławowi Broel-Platerowi. Matki nie zabrali.

Z mieszkania odprowadzili nas na posterunek policji polskiej, gdzie mnie i brata pozostawili. Po pewnym czasie do celi, w której znajdowałam się razem z bratem, gestapowiec i Poznański sprowadzili jeszcze kilku mężczyzn z Terespoła (ludzi tych bliżej nie znałam). Około jedenastej rano wszystkich nas aresztowanych także gestapowiec i Poznański odprowadzili do gestapo, które mieściło się na przedmieściu. Tam mężczyzn oddzielili i ulokowali w osobnej celi, mnie zaś (jedyną kobietę w tej grupie) wprowadzili do celi, w której siedziała jakaś starsza wiejska kobieta. Po godzinie do mej celi wepchnięto jeszcze jakichś dwóch mężczyzn. Cella nasza była bardzo brudna i mała, na ścianach były poczynione napisy czymś czerwonym (miałam wrażenie, że krwią), były również na ścianach odbitki dłoni (także czerwone), jak gdyby ta dłoń była zakrwawiona. Widziałam też na ścianie „bryzgi krwi”. Około dwunastej wezwano mnie do kancelarii na badanie. Znajdowali się tam: gestapowiec, który mnie zaaresztował, i Poznański. Byli oni kompletnie pijani.

Pytał mnie gestapowiec, Poznański zaś tłumaczył na polski. Gestapowiec zapytał przede wszystkim, czy wiem, za co zostałam zaaresztowana. Odpowiedziałam negatywnie, wtedy oni obaj zaczęli mnie bić po twarzy oraz pięściami po głowie, wybili mi przy tym kawałek zęba (w tym miejscu świadek okazała ząb dolny przedni, siekacz, z którego pozostał tylko kawałek). Bili mnie tak długo, aż zemdląłam. Od tego czasu często mnie boli głowa i uszy. Przedtem głowa mnie nigdy nie bolała, natomiast na uszy już wcześniej chorowałam, po tym zaś biciu zaczęły mi bardziej dolegać.

Nie wiem, jak długo byłam bez przytomności. Ocknęłam się w tejże kancelarii, poczułam, że leżę na podłodze. Gestapowiec i Poznański kopali mnie nogami w brzuch, piersi, uda.

Gdy zobaczyli, że oprzytomniałam, kazali mi wstać. Nie miałam sił. Wtedy Poznański schwycił mnie za włosy i w ten sposób postawił na nogi. Zapytali mnie, czy należałam do organizacji. Odpowiedziałam przecząco, a wtedy znowu zaczęli mnie bić, tak samo jak poprzednio. Jeden

raz uderzono mnie przy tym pałką gumową (uderzył mnie tą pałką Poznański po ramionach). Następnie kazali mi się rozebrać. Ponieważ nie chciałam, więc oni rozebrali mnie sami, po czym wezwali do kancelarii około 20 młodych gestapowców i zaczęli śmiać się ze mnie. Wszyscy byli w mundurach. Między innymi zapytali mnie, czy nie wstyd mi stać nago przed nimi. Odpowiedziałam na to, że oni powinni byliby się wstydzić, że się pastwią nade mną. Wtedy położyli mnie na stół twarzą do dołu i zaczęli bić, przeważnie pałkami gumowymi. Pierwszy zaczął mnie bić i najdłużej bił Poznański, potem bił tą pałką gestapowiec, który mnie zaarrestował, po nim i inni. Zdaje się, że ich drażniło to, że ja nie krzyczałam. Dopiero, gdy jeden z nich schwycił mnie za rękę i wykręcił mi ją, zaczęłam krzyczeć, wtedy oni uderzyli mnie jeszcze kilka razy i dali mi spokój. Następnie kazali mi ubrać się i odprowadzono mnie do celi.

Około godziny piętnastej – szesnastej tegoż dnia wezwano mnie ponownie do kancelarii. Byli tam znowu Poznański i gestapowiec, nieco przytomniejsi niż poprzednio. Tym razem zaczęli mnie badać spokojniej, pytali o imię, nazwisko, datę urodzenia, adres, czym się zajmuję, dlaczego byłam na Węgrzech, jakie mam wykształcenie, następnie zaś, czy należałam do organizacji, kto należał do organizacji itp. Gdy odpowiedziałam, że tego nie wiem, to na taką negatywną odpowiedź reagowali, bijąc mnie albo pałką gumową po piersi, albo po twarzy, albo kopali. Badanie tym razem trwało ze trzy godziny. Pod koniec zemdlałam, więc wynieśli mnie i rzucili do celi, gdzie zaopiekowała się mną kobieta, która ze mną siedziała. W czasie badania zapewnili mnie, że brat mój już się przyznał. Przekonałam się później, że było to z ich strony kłamstwo. Rano następnego dnia mnie, brata i kilku mężczyzn wywieźli do Białej Podlaskiej. Jechaliśmy w pociągu w jednym przedziale. Torebkę oddali mi z powrotem, więc, gdyśmy jechali, napisałam bratu kartkę, zapytując, czy się przyznawał do należenia do organizacji, a jeśli tak, to dlaczego skłamał (bo to było nieprawdą). Brat mi na to odpisał, że on wcale nie był badany.

Pisałam do niego kartkę (miałam w torebce ołówki i papier) dlatego, że nie chciałam, by inni, co z nami jechali, słyszeli to moje zapytanie.

Około godziny trzynastej mniej więcej przywieziono nas do Białej, gdzie zaprowadzono nas do jakiegoś budynku niedaleko stacji i tu oddzielili mężczyzn od kobiet.

Przez kilka godzin siedziałam w kancelarii pod strażą jakiegoś gestapowca, po czym odprowadzono mnie do więzienia w Białej. Politycznych tam prawie nie było. Ulokowano

mnie tam w celi „wzorowej” (okazywano ją w razie komisji), było tam wyjątkowo czysto. W celi tej siedziało kilka kobiet, które zostały już skazane wyrokami na kary kilku lat za kradzież, bandytyzm itp. Jedzenie było okropne: rano dawali gorącą wodę zabarwioną cykorią i 10 – 15 dkg chleba razowego na cały dzień. Na obiad z lekka osolona gorąca woda z jakimś zielskiem, wieczorem zaś tak samo jak i rano: kawa, oczywiście nieosłodzona, czasem zaś zupa jak na obiad. Raz na tydzień można było otrzymywać paczki żywnościowe i ubraniowe. Raz na tydzień wolno było pisać listy. Korespondencja do nas i od nas była doręczana adresatom. Po dwóch tygodniach pobytu w więzieniu wezwano mnie na badanie (był to koniec czerwca 1941). Badali mnie tak samo jak w Terespolu, to znaczy zapytywali o to samo i bili przy tym, z tą różnicą, że nie pałkami gumowymi, lecz trzciniami. Pytania zadawano nam bardzo nieinteligentnie i w taki sposób, że mogłam z góry przygotować się do nich i do odpowiedzi. W Białej Podlaskiej badano mnie jeszcze kilkakrotnie, w odstępach mniej więcej tygodniowych lub dwutygodniowych. Za każdym razem badania te odbywały się na gestapo, do którego mnie przeważnie prowadzono piechotą, najczęściej w godzinach rannych. Ostatni raz w Białej Podlaskiej badał mnie pewien nowy gestapowiec (nazwiska jego nie znam), a tłumaczył Szymański (tak mówili mi w więzieniu), korpulentny brunet. Słyszałam później od znajomych z Terespoła, że zabili go w Białej na ulicy. Szymański był także volksdeutschem. (Słyszałam obecnie, że rzekomo Poznański w roku 1942 umarł w Terespolu). Ostatnie badanie trwało bardzo długo, kilka godzin. Gestapowiec zarzucał mi, że brałam udział w zatruciu studzien w Terespolu, co powodowało masowe zdychanie koni. Oświadczył wreszcie, że za to czeka mnie śmierć.

Gdy powiedziałam, że przecież nie ma żadnych dowodów przeciwko mnie, gestapowiec odpowiedział, że wystarczy to, że jestem inteligentką. W czasie tego badania Szymański na polecenie gestapowca uderzył mnie parę razy trzcinią. W pewnej chwili gestapowiec wyjął rewolwer, przyłożył mi do piersi i oświadczył, że jeśli natychmiast nie przyznam się do wszystkiego, to on mnie natychmiast zastrzeli. Gdy nie przyznałam się, to oznajmił, że za parę dni zawiozą mnie do Lublina i tam dopiero zobaczę, co to znaczy badania i bicie.

Na moje pytanie, co zrobią z moim bratem, gestapowiec powiedział, że mój brat został aresztowany omyłkowo i będzie zwolniony. Po badaniu odwieziono mnie bryczką, a w dwa dni później [wywieziono] do Lublina ciężarowym autem wraz z bratem i jeszcze jakimś mężczyzną. W czasie podróży nie rozmawialiśmy ze sobą, z nami bowiem jechali gestapowcy. Zauważyłam, że brat jest bardzo mizerny i blady.

Po drodze w Radzynie nasze auto brało większy transport więźniów i tam zdążyłam zamienić z bratem parę słów. Powiedział, że był badany tylko raz i był bity, lecz nie bardzo. Pytano go przeważnie o mnie, gdzie byłam, co robiłam, z kim się kontaktowałam. W Radzynie załadowali pełen samochód więźniów, było bardzo ciasno. Więźniowie ci byli bardzo wychudzeni. Konwój prowadził gestapowiec Jan Dietrich (miał on około 30 lat, bardzo dobrze mówił po polsku). W trakcie transportu zachowywał się okrutnie, bił przy każdej okazji, groził więźniom, że będą straceni itp. Później, już w więzieniu słyszałam, że był to jeden z najokrutniejszych gestapowców Lublina. Będąc już w obozie w Ravensbrück, słyszałam od kobiet, które zostały później niż ja tam przywiezione, że rzekomo Dietrich został rozstrzelany przez gestapo lubelskie, rzekomo za współpracę z Anglikami. Nie wiem, czy to była prawda.

Do Lublina przyjechaliśmy około 23.00. Tam oddzielono mężczyzn od kobiet. Mężczyzn przeprowadzono na basztę Zamku, gdzie były potworne warunki (o tym mówili mi w Zamku), nas odprowadzono na oddział kobiecy. Umieszczona zostałam w tak zwanej rogówce. Przebywało tam około 15 kobiet. Cella była bardzo brudna i wilgotna, było bardzo dużo insektów. Odżywianie było takie, że byłyśmy stale głodne. Gdyby nie paczki z miasta, to nikt by nie wytrzymał.

30 lipca 1941 roku brata mego wraz z innymi więźniami odwieziono do Oświęcimia. Dowiedziałam się o tym od więźniarek dawniejszych, które miały kontakty ze strażą więzienną. Nie miałam już następnie o bracie żadnych wiadomości.

Obecnie, po powrocie do domu, dowiedziałam się, że rodzina została powiadomiona przez gestapo z Oświęcimia, że brat tam zmarł. Jak opowiadali mi obecnie ci, co byli w tym czasie co i brat w Oświęcimiu, chorował on tam na gripę i zmarł na skutek wycieńczenia w roku 1942.

W Lublinie pozostawałam do 21 września 1941 roku. Nie byłam tam badana. Nie byłam bita, lecz chorowałam, całe plecy aż do kolan ropiały mi, gdyż brud w więzieniu zanieczyszczał rany, które miałam od poprzedniego bicia w Terespolu i Białej.

23 września 1941 roku w liczbie 155 kobiet z Lublina przybyłyśmy do Ravensbrück. W Warszawie do naszego pociągu dołączono transport kobiet z Pawiaka w liczbie około 200. Obóz Ravensbrück leżał około 80 kilometrów na północny zachód od Berlina, w Meklemburgii. Oddalony on jest około czterech kilometrów od miasteczka Fürstenberg. Obóz położony był w dolinie otoczonej lasem. W roku 1941 było tam około 25 baraków, później obóz rozbudowano i było około 40 baraków (w tym 32 dla więźniów).

Obóz był otoczony wysokim murem, na którym znajdowały się druty naelektryzowane. Odżywianie było bardzo niedostateczne, tłuszcz otrzymywałyśmy raz w tygodniu w sobotę w ilości około 5 dkg masła lub sera.

Kobiety, które nie otrzymywały paczek, przeważnie kończyły w ten sposób, że umierały na tyfus głodowy. Paczki wolno było nadsyłać nam dopiero od listopada – grudnia 1942 roku. Zależało to od humoru dozorczyń: czasami można było otrzymać i trzy paczki w miesiącu, czasami ani jednej.

Kobiety przebywające w obozie w latach 1941 – 1942 to zasadniczo Polki i Niemki, Żydówki oraz Cyganki polskie lub niemieckie. W roku 1941 w Ravensbrück więcej siedziało Niemek niż Polek. Siedziały albo za to, że były przeciwne reżimowi hitlerowskiemu, albo za uchylanie się od pracy, albo za nielegalny handel. Niemki nie były traktowane przez straż obozu lepiej niż my, gdyż traktowano je jako wrogów hitleryzmu. Do tego obozu trafiały również prostytutki Niemki lub takie, które miały przyjaciół Polaków.

Pod koniec 1942 roku zaczęto przywozić do obozu kobiety z Zachodu, to znaczy Francuzki, Belgijki, a później nawet i Włoszki. Zresztą były między kobietami także i Turczynki. Był to różny element: większość to [więźniarki] polityczne, lecz były i kryminalne.

Był to obóz pracy. Prace były: a) poza bramą i b) w obrębie obozu. Poza bramą były roboty przy uprawie warzyw, ładowaniu węgla, drzewa, mąki itp., budowaniu szos (jeśli było dalej od obozu, to wtedy wożono do takiej budowy ciężarówkami).

W obrębie obozu były przeważnie pracownie dla wojska. Szyłyśmy np. buty ze słomy, mundury, bieliznę, bardzo dużo przywożono futer, które się pruć i podbijało nimi płaszcze żołnierskie.

W roku 1942 dnia 18 listopada zostałam wezwana do szpitala, gdzie przez dwa dni byłyśmy pod obserwacją. Oprócz mnie było tam jeszcze dziewięć więźniarek (wszystko tylko Polki). 20 listopada rano otrzymałam zastrzyk, zdaje się, z morfiny i w południe na wpół senną zawieziono mnie do sali operacyjnej. Tam zrobiono mi jeszcze jeden zastrzyk i usnęłam. Oczywiście nikt mnie nie pytał, czy się zgadzam na operację. Obudziłam się na sali, był wieczór. Obok mnie stała naczelna lekarka, której nazwisko brzmiało Oberheuser. Miałam silne dreszcze. W nocy podniosła się u mnie bardzo temperatura.

Odczuwałam bardzo silny ból w prawej nodze w goleni. Obejrzałam nogę, lecz nie zauważyłam żadnych śladów oprócz jak gdyby nakłucia igłą w miejscu położonym jakie 3 – 4 centymetry poniżej kolana. Nie miałam żadnej rany ani opatrunku. Tylko w miejscu tym – nakłucia – było jak gdyby posmarowane wapnem. Gdy stałam ten biały proszek, to w tym miejscu nic nie zauważyłam. Natomiast bolała mnie cała noga od palców aż do pachwiny, zaczęła stopniowo puchnąć. Po dwóch dniach noga w kostce (też w prawej kończynie) była bardzo opuchnięta, tak że kostki nie było widać, przy czym w tym miejscu skóra była ciemna, prawie czarna. Nieco jaśniejszego koloru, lecz również ciemnoczerwona, była aż do goleni. Wyżej, aż do kolana, była lekka zaczerwieniona i spuchnięta, lecz dużo mniej niż w kostce. Miałam poza tym wysoką temperaturę. Wiem ze słów pielęgniarki Hanschen (imię tej pielęgniarki), że miałam około 40 stopni z rana, wieczorem była wyższa. Tak trwało około sześciu tygodni. Poczynając od następnego dnia po zabiegu otrzymywałam codziennie rano po pięć dożylnych zastrzyków jakiegoś z lekka różowego płynu. Były to duże zastrzyki, każdy około 20 cm sześciennych.

Nie zauważyłam, czy był to płyn oleisty.

Płyn ten wpuszczano mi bardzo powoli i zastrzyki były bardzo bolesne. Poza tym w parę godzin po tych zastrzykach (od razu jeden po drugim zastrzykiwano te pięć ampułek po 20 cm) zastrzykiwano mi także domięśniowo czasem jedną, czasem dwie ampułki małe (może po 1 – 2 cm). Po tych zastrzykach czułam się lepiej. Natomiast po dużych rannych zastrzykach czułam się osłabiona. Przez te mniej więcej sześć tygodni karmiono mnie w szpitalu w ten sposób, że dawano mi bardzo dużo słodczy: jakieś kaszki, kompoty, które więcej przypominały syropy. Poza tym jedzenie było lepsze niż w barakach. Apetytu nie miałam. Miałam w tym okresie osłabienie serca, bóle głowy. W ogóle czułam się źle.

Nie wstawałam zupełnie. Na trzeci dzień po pierwszym zabiegu obejmował moją nogę jakiś lekarz ubrany w mundur i w fartuch i był bardzo zadowolony, powiedział przy tym do pielęgniarki po niemiecku, że „jest już gotowa, może iść na operację”. Rozumiałam już wtedy trochę po niemiecku. W dwa czy trzy dni po pierwszym zabiegu zrobiono mi operację pod narkozą ogólną. Przez trzy dni po niej byłam nieprzytomna. Wiem o tym od koleżanek, które leżały ze mną w szpitalu. Gdy odzyskałam przytomność, to stwierdziłam, że mam obandażowaną nogę od palców aż po kolano. Zdaje się, że noga nie była w gipsie. Cała bardzo mnie bolała i była spuchnięta. W trzy czy cztery dni po operacji zrobiono mi pierwszy opatrunek. Ten opatrunek był także pod narkozą.

Że to był opatrunek wiem stąd, że tak mówiła pielęgniarka do innej pielęgniarki.

Jak mówiły mi koleżanki, opatrunek ten trwał około półtorej godziny. W parę dni po nim znowu mi zrobiono, jak mówiono, opatrunek. Robiono go znowu pod narkozą ogólną. Ten opatrunek, jak mówiły mi koleżanki, trwał około pół godziny. Spod bandażu intensywnie wydzielala się ropa, tak że już w parę godzin po opatrunku bandaż był przesiąknięty nią. Wieczorem zwykle dawano mi morfinę w stanie płynnym (piłyśmy), na noc zaś pozostawiano nas bez opieki. Dostawałam morfinę przez trzy tygodnie od operacji. Po drugim opatrunku w czasie nieobecności pielęgniarki rozbandażowałam sobie nogę, aby ją obejrzeć. Zobaczyłam dwie rany: jedna od kostki do kolana (w tym miejscu świadek okazała bliznę długości około 15 cm, szerokości około 3 cm na łydce z prawej strony oraz drugą bliznę z przodu na goleni, długości około 10 cm), drugą z przodu nogi na goleni. Nadmieniam, że obecnie te blizny są mniejsze, niż były rany. Z ran tych płynęła bardzo obficie ropa pomieszana z krwią.

W szpitalu leżałam do Bożego Narodzenia 1942 roku, wciąż z dużą temperaturą. Po świętach temperatura zaczęła spadać. Lekarka Oberheuser przez cały czas naszego pobytu w szpitalu bardzo się interesowała naszymi nogami i stanem naszego zdrowia. Kiedyś w tym czasie miałam silny atak serca około południa, wtedy Oberheuser przybiegła i dała mi zastrzyk kamfory. Przypuszczam, że atak ten nastąpił na skutek osłabienia serca w związku z wysoką temperaturą. W okresie od operacji do Bożego Narodzenia kilka razy w nieregularnych odstępach (było to trzy czy cztery razy) podnosiła się u mnie temperatura i cała puchłam. Na skórze robiły się bąble jak od oparzenia pokrzywą. Całe ciało wtedy mnie piekło i swędziało. Trwało to po cztery – pięć dni i zniknęło raptownie. Odniosłam wrażenie, że Oberheuser była tymi wypadkami jakby zdziwiona i zaniepokojona. Żadnych jednak specjalnych zabiegów w tych wypadkach wobec mnie nie stosowano.

Ja byłam operowana w innej grupie niż Władysława Karolewska. Te koleżanki, które leżały jednocześnie ze mną, reagowały na operację i zabiegi inaczej niż ja. Wydaje mi się, że każdą traktowano inaczej, to znaczy robiono różne zabiegi. Na przykład czterech koleżanek po takich „nakłuciach”, jakie ja miałam przed operacją, wcale nie operowano i po kilku dniach odesłano je na bloki.

15 stycznia 1943 roku przeniesiono mnie ze szpitala na blok, skąd przychodziłam lub byłam przynoszona na opatrunki do szpitala. Leżałam na bloku prawie do czerwca. Byłam przez

ten czas zwolniona od pracy. Odżywiano mnie tak samo jak i resztę tych, co były w barakach, z tym, że rano otrzymywałam dodatkowo kaszkę. W końcu czerwca prawie zagojona blizna (ta z boku na łydce) otworzyła się i zaczęła płynąć ropa i krew. Trwało tak mniej więcej przez tydzień. Podniosła się temperatura mniej więcej do 39 stopni. Nie chciałam jednak iść do szpitala. Opatrunki robiła mi pielęgniarka naszego bloku.

Po tygodniu noga się zagoiła i więcej rany się nie otwierały. Noga i teraz od czasu do czasu boli mnie tak, że nie mogę chodzić. Czuję, jak gdyby prąd przechodził. Dotknięcie nogi w tym miejscu, gdzie mam bliznę, sprawia mi duży ból. Męczy mnie chodzenie.

Najwięcej dolega mi noga w kostce.

W lipcu 1943 roku wzywano mnie jeszcze raz do szpitala na operację, lecz nie poszłam. Konsekwencji żadnych wobec mnie nie wyciągnięto. Do ciężkiej pracy mnie nie posyłano; pracowałam na bloku w pończoszarni. „Królikom”, jak nazywano nas, operowane, nie wolno było opuszczać obozu i wychodzić do pracy poza bramę, a to w związku z tym, że pewnego razu jedna z „królików” wyszła do pracy poza bramę i gdy jakiś Niemiec ogrodnik zobaczył blizny u niej na nodze, ona mu wszystko opowiedziała o operacjach. Ten Niemiec (człowiek starszej daty) bardzo się oburzał. Widocznie wiadomości o tym doszły do komendanta obozu i wtedy zarządzono, by nas nie wypuszczać. Mówiły nam zresztą stale, tak dozorcynie, jak i pielęgniarki, że nas z obozu nie wypuszczą nigdy, żeby nie wykryło się, że na nas robiono te doświadczenia.

W lutym 1945 roku jedna z koleżanek więźniarek opowiedziała nam, że przyszedł rozkaz Gebhardta, że on ucieka przed wojskami rosyjskimi, i że komendant obozu musi nas „króliki” zgładzić. Wkrótce po tym „króliki” zostały imiennie wezwane, aby stawiły się do dyrekcji obozu. Jednakże nie stawiłyśmy się, a korzystając z dużego bałaganu w obozie i wielkiej liczby więźniarek (było wtedy kilkadziesiąt tysięcy), pozdejmowałyśmy swoje numery i trójkąty i ukrywałyśmy się w innych blokach. Tak trwało przez kilka tygodni do chwili przyjazdu Szwedzkiego Czerwonego Krzyża.

Odczytano.

Protokół

Warszawa, 14 września 1945 r. Sędzia śledczy Mikołaj Halfter, wypełniając wniosek prokuratora Sądu Okręgowego w Warszawie – za pośrednictwem powołanych w charakterze biegłych sądowych lekarzy i profesorów dr. Adama Gruza, s. Kazimierza i Doroty, dyrektora Centralnego Instytutu Chirurgii Urazowej, zam. chwilowo w Szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie, obecnego, sędownie niekaranego oraz zaprzysiężonego biegłego sądowego prof. dr. Wiktora Grzywo-Dąbrowskiego, dyrektora Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Warszawskiego, zam. w Warszawie przy ul. Grochowskiej 246 – dokonał oględzin sądowo-lekarskich Marii Broel-Plater, znanej ze sprawy.

Wywiad lekarski: badana podaje, że jako dziecko chorowała na zapalenie oskrzeli i płuc. W czasie pobytu w obozie Ravensbrück, w stanie zupełnego zdrowia została skierowana do szpitala obozowego w dniu 18 listopada 1942 r., gdzie przez dwa dni była na obserwacji. Po czym zrobiono jej iniekcję dożylną, skutkiem której była już tylko półprzytomna. Następnie zrobiono jej jeszcze jeden zastrzyk, po którym usnęła. Obudziła się na sali ogólnej, po trzech – czterech godzinach (mówiły jej o tym koleżanki przebywające na tej sali). Czuła rwący, szarpiący ból w prawej nodze. Gdy obejrzała nogę, zauważyła poniżej kolana małą czerwoną dziurkę, jak od nakłucia igłą, naokoło jakiś biały zaschnięty proszek. Miała wysoką temperaturę. Na drugi dzień noga zaczęła bardzo puchnąć. Wystąpiło silne obrzmienie w okolicy kostki i noga w kostce zaczęła czernieć. Najwięcej spuchnięta noga była w kostce, nieco mniej powyżej, aż do kolana. Noga aż do pachwiny bolała. W dwa dni po zabiegu lekarz obejrzał nogę i orzekł, że jest „dobra dla operacji”. Następnego dnia zabrano ją na salę operacyjną, gdzie po zastrzyknięciu jej czegoś, zasnęła. Obudziła się na sali ogólnej, nogę miała obandażowaną od pachwiny aż do kolana, przy czym pod bandażem znajdowały się jak gdyby sztywne wkładki.

Temperaturę miała do 40 stopni z kreskami. Noga była bardzo bolesna i ciężka. Przez bandażę przesiąkała krew i ropa.

Stosowano jakieś zastrzyki – może około 100 cm dożylnie od razu. Po obiedzie stosowano małe zastrzyki domięśniowe w lewą nogę. W dwa dni po operacji znowu poddano ją narkozie przypuszczalnie w celu zmiany opatrunku. Gdy obudziła się, nogę miała już normalnie obandażowaną. Po paru dniach znowu „opatrunek” pod narkozą. Zastrzyki – przez jeden do dwu tygodni, co wieczór do picia – morfina (?). Zastrzyki wapna w dużej ilości (może z 10).

Temperatura wysoka do Bożego Narodzenia: 38 – 39 stopni, potem zaczęła spadać. Stan podgorączkowy trwa do dziś. Czasami boli szczyt prawego płuca. W styczniu 1943 roku czuła się lepiej, zaczęła wstawać, w drugiej połowie stycznia zaczęła chodzić o kulach. Noga była jeszcze niezagojona. Ropa. Noga często wykrzywia się w kostce, jak gdyby brakowało jakiegoś ścięgna. Do wiosny tego roku dużo leżała w łóżku. W marcu – kwietniu 1943 rany się zablizniły. W czerwcu rana ponownie otworzyła się. Mniej więcej przez tydzień ciekła ropa, po czym zagoiła się. Noga boli do dziś. Zdarza się to i w czasie, gdy dużo chodzi, i wtedy, gdy leży w łóżku, w nocy.

Stan obecny: badana jest wzrostu średniego, dobrej budowy, odżywienia miernego, odruchy kolanowe żywe, prawy trochę słabszy, mniej żywy niż lewy. Odruch ze ścięgna Achillesa po stronie prawej słaby, po stronie lewej żywy. Siła i czynności kończyn dolnych bez zaburzeń. Ze strony układu nerwowego, poza opisanymi, zmian obiektywnych nie stwierdzono. Ze strony narządów wewnętrznych brak wyraźniejszych zmian. Na podudziu prawym od przodu i nieco od zewnątrz – blizna linijka długości 11 cm, z góry ku dołowi, kończy się na wysokości 10 cm powyżej szczytu kostki zewnętrznej, szerokości 1 – 1,5 cm, gładka, w środku biała, poza tym szarawo-żółtawa, z podłożem nierozrośnięta. Z tyłu na wysokości 1/3 podudzia po stronie zewnętrznej druga blizna długości 16 cm, szerokości 2 cm, linijka, przebiega podłużnie, w dolnym odcinku zrośnięta ze ścięgnami, w górnym – tylko z powięzią. W górnym końcu blizny namacalny guzek podskórny wielkości małego orzecha laskowego, który przy ucisku daje uczucie mrowienia i elektryzacji, kość strzałkowa na wysokości blizny nieregularnie zgrubiała i tkliwa. Podobnie poniżej blizny. Obwód prawej nogi w łydce 12 cm, lewej – 13 cm.

Chód: pewne oszczędzanie prawej nogi.

Na stosowne zapytanie biegli wydają następującą zgodną tymczasową opinię: na podstawie wywiadu lekarskiego i dokonanych ustaleń dochodzimy do wniosku, że pierwszy zabieg u Marii Broel-Plater polegał na zastrzyknięciu w okolicę kości strzałkowej materiału zakaźnego, dalsze zabiegi były to nacięcia celem wypuszczenia ropy. Zabiegi te poważnie zagrażały życiu ofiary przez okres trzech do czterech miesięcy. Zaburzenia czynności kończyn dolnych obecnie nieduże.

Celem wydania ostatecznej opinii należy zaznajomić się ze zdjęciami rentgenowskimi, które winny być sporządzone przy prześwietleniu operowanej kończyny.

Opinia dodatkowa w sprawie M. Broel-Plater

1. Jak widać ze zdjęcia rentgenowskiego z 18 października, na bocznej powierzchni prawej kości strzałkowej znaleziono płaskie wgłębienie (ubytki kostne) w jej górnej i środkowej części, powstałe prawdopodobnie po oddłutowaniu listewek kostnych.
2. Biorąc pod uwagę powyższe, uwzględniając wynik sądowno-lekarskiego badania poszkodowanej i treść wywiadu lekarskiego, przychodzę do wniosku, że u badanej bez wskazań lekarskich zostały dokonane jakieś zastrzykiwania, najprawdopodobniej materiału zakaźnego, po czym przeprowadzano nacięcia tkanek celem wypuszczenia ropy.
3. W następstwie wspomnianego zakażenia wystąpiła wysoka gorączka, trwająca do czterech miesięcy. W tym okresie istniało niebezpieczeństwo dla życia.
4. Podane zabiegi (iniekcje do prawego podudzia) spowodowały rozstrój zdrowia, połączony z zakłóceniem w czynności prawej nogi, trwający przez ok. sześć miesięcy.
5. Całość sprawy robi wrażenie, że dokonano doświadczeń na kobiecie, badając wpływ iniekcji materiału zakaźnego na jej organizm. Mając na względzie wynik badania rentgenem, nasuwa się znów przypuszczenie, że w jakimś nieznanym nam celu wycinano listewki kostne z prawej kości strzałkowej

16 października 1945 r.